

DOKUMENT

Balkon jak konfesjonał

Wybitny dokumentalista Paweł Łoziński zrealizował film, rozmawiając z ludźmi przechodzącymi pod jego mieszkaniem.

BARBRA HOLLENDER

Grand Prix w Locarno w sekcji „Tydzień krytyki”, nagrody na festiwalach w Biaritz, Trieście, Lipsku, Missouli, Łodzi, Warszawie (na Docs Against Gravity), a ostatnio trzy nominacje do polskich Orłów – w kategoriach: reżyseria, montaż i dokument. „Film balkonowy” Pawła Łozińskiego to superskromny projekt o niesłychanej sile.

Proste konwersacje

Druciane ogrodzenie, chodnik, kawałek trawnika, czasem – w szerszym planie – drzewo albo parkujący przy krawężniku samochód. Kadr jest najczęściej nieruchomy. Oglądamy skrawek świata na warszawskiej Saskiej Kępie z góry, z balkonu na pierwszym piętrze. Paweł Łoziński spędził na tym balkonie dwa i pół roku – z kamerą i mikrofonem na 4,5-metrowej tyczce. Obserwował przechodzących ludzi, zagadywał. Zarejestrował około 2 tysięcy rozmów, do filmu wybrał 80.

Niektórzy przechodnie pojawiają się w filmie raz, inni wracają, między nimi a realizatorem nawiązuje się specyficzna więź. Jedni się spieszą, inni zatrzymują się, zadzierają głowy i opowiadają – o swoim życiu, lękach, drobnych radościach i wielkich rozczarowaniach. Ale to nie jest uliczna sonda. To społeczny eksperyment, opowieść o Polakach.

Paweł Łoziński zadaje najprostsze pytania. Trochę jak 27 lat temu jego sześćcioletni wówczas brat. Mały bohater zrealizowanego przez ich ojca Marcela Łozińskiego „Wszystko może się przytrafić” w czerwonej kurteczce jeździł po parkowych alejkach na hulajnodze, ale zatrzymywał się przy ławkach, na których siedzieli starzy ludzie. Nawiązywał z nimi konwersację. Zada-

wał najprostsze, z punktu widzenia dorosłych dość śmiałe pytania: o życie, śmierć, Boga. Z dziecięcej ciekawości i szczerych odpowiedzi (bo jak tu okłamywać dziecko?) powstał piękny, pełen wrażliwości dokument o samotności, miłości, rozchodzeniu się ludzi, rozpaczy, sensie życia. Jeszcze wcześniej, w 1980 roku, w „Gadających głowach” o to, kim są i czego chcą, pytał swoich rozmówców Krzysztof Kieślowski.

Rozbrajająca prawda

Kieślowski stworzył głęboki i sugestywny portret Polaków AD 1980, przede wszystkim polskiej inteligencji, Marcel Łoziński – przypominając o kolejach losu, starości, śmierci. A Paweł Łoziński dodał jeszcze do tego obraz współczesnej Polski.

W „Filmie balkonowym” sąsiedzi i przechodnie pod balkonem zwierają się trochę jak w konfesjonale. Czasem coś grają, jednak na ogół są rozbrajająco szczerzy.

„Po co to życie jest? Żeby żyć dla kogoś, nie dla siebie” – mówi dojrzały mężczyzna. „A pan dla kogo żyje?” – pyta reżyser. „Dla siebie” – przyznaje facet i w tej odpowiedzi kryje się jego przegrana. Inny mężczyzna, którego żona, choć mają trójkę dzieci, odeszła po 15 latach małżeństwa, stara się żartować: „Zamieniła mnie na młodszy model”. „Dzisiaj są moje urodziny i jest mi smutno” – zwierza się kobieta. „Bo jest inaczej, niż miało być. Praca, szacunek najbliższych – wszystko gdzieś sobie poszło”. Samotność boli, ale życie rodzinne też układa się różnie. 50-latką jest rozbrajająco szczerą: „Jestem kobietą, która zrządzeniem losu stała się bardzo szczęśliwa”. Radość życia odzyskała po śmierci męża, który zawsze sprawiał jej ból.



Podczas kręcenia „Film balkonowego” Paweł Łoziński przeprowadził około dwóch tysięcy rozmów

Zwierzenia wielu osób wykraczają poza sferę prywatną. Jest złość. Choćby starszej pani, której nawet z „psiej emerytury” potrącają składki zdrowotne, a gdy potrzebuje operacji zdjęcia zaćmy, to musi płacić za badania i czekać osiem lat. „Oślepnę, nim mi to zrobią. To gdzie to nasze państwo jest? Kurewskie państwo” – krzyczy zdeprymowana kobieta.

Wraca pod balkon Łozińskiego coraz bardziej zaprzężony z nim bezdomny Robert. Wyszedł z więzienia, gdzie zrobił maturę i nauczył się klasę glazurę. Chce żyć uczciwie, ale nic się nie klei. „Pracuję, wieczorem żebrzę. Czasem uda się coś zjeść. Wypalony jestem. Ja rozumem pokuta pokuta, ale ile można...” – narzeka, bo nie jest w stanie

zadaptować się na wolności. Niektórzy zdobywają się na wyznania bardzo trudne. Ktoś przyznaje, że 34 lata żył „we mgle”. Przez alkohol. Teraz próbuje odnaleźć się, pogodzić się ze sobą, ze swoją przeszłością, po to, żeby móc pójść dalej. „Jak to jest być trzeźwym?” – pyta reżyser, a w odpowiedzi słyszy: „Fajnie. Świat lepiej smakuje”. Z kolei na coming out decyduje się przygnębiony człowiek, zrozpaczony po śmierci partnera. Żyli razem wiele lat, wścibskim sąsiadom mówili, że są braćmi, bojąc się polskiej mentalności. To była wielka miłość.

I jeszcze taka miara uczucia: młoda dziewczyna z pudełkiem ze słodkimi delicjami: „Wsiądę do auta i pojedę 500 kilometrów. Nie zjem tych ciastek po drodze. Dam je mojej

cudownej mamie. To jest miłość. Jak to nie jest miłość, to ja nie wiem”. A ważną bohaterką filmu staje się dozorczyzna pani Zosia, zawsze zapracowana i zadowolona. Tylko pracownik zagranicznej ambasady spogląda podejrzliwie na zadającego pytania faceta z balkonu.

Zadrzeć głowę

Przed kamerą Pawła Łozińskiego paradują młodzi i starzy, zagonieni i tacy, którzy nie bardzo wiedzą, co zrobić z czasem. Inteligenci, prości, artyści, emeryci, ludzie, którzy potrafią łapać wiatr w żagle, i tacy, którym nic nie wychodzi. Żona reżysera obławiana siatami z zakupami i córka, która do telefonu mówi, że taty w ogóle nie ma,

bo stale tkwi na balkonie. Są wreszcie mocne chłopaki z flagami i orzelkami, szafujące hasłami o Bogu, honorze i ojczyźnie.

Taki polski miszmasz, czasem śmieszny, czasem piękny, czasem bolesny, czasem straszny. Tak niewiele trzeba, żeby powstał ważny dokument: dobry pomysł, wrażliwy, zdeteterminowany reżyser, jedna kamera i konsekwencja. Na kilkunastu metrach kwadratowych odbiła się dzisiejsza Polska. A Łoziński, choć kręcił swój film przed pandemią, przypomniał i to, o czym przekonał się później wszyscy: jak ważny jest drugi człowiek. Jak jesteśmy samotni i jak bardzo potrzebujemy chwili bliskości.

Nawet jeśli trzeba zadrzeć głowę do góry. /©©

MALARSTWO

Kobieta, która stworzyła abstrakcję

W piątek przypada Światowy Dzień Sztuki. Z tej okazji warto przypomnieć zapomnianą pionierkę nowoczesności Hilme af Klint. Jej wystawa w 2018 roku była objawieniem.

MALGORZATA PIWOWAR

Ekspozycja „Hilma af Klint: Painting for the Future” prezentowana w Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku stała się objawieniem dla niemal milionowej publiczności.

Pokazano wtedy 170 prac niemal nieznaną dotąd Szwedki. Uznano, że ta artystka powinna być dołączona do słynnych pionierów abstrakcji: Kandinsky’ego, Mondriana i Malewicza. Af Klint tworzyła abstrakcyjne prace kilka lat przed Kandinsky’em, którego akwarela z 1910 roku uznawana była za pierwsze dzieło abstrakcyjne.

O Hilmie af Klint (1862–1944) mało kto słyszał, choć pozostawiła ponad 1100 obrazów, 125 notesów z 26 tysiącami notatek i rysunków, po-



Hilma af Klint, film o niej pokaże warszawskie kino Luna

wstały w latach 1897–1907. Są niezwykle istotne, bo stanowią komentarz objaśniający znaczenia kolorów, symboli i znaków pojawiających się na jej obrazach.

W jednym z zeszytów zanotowała: „Wszystkie prace, które można ujawnić dopiero 20 lat po mojej śmierci, są opatrzone takim znakiem: w prostokącie obok znaku dodawania widnieje znak mnożenia”. Rzecz dotyczy jej niezwykłych dzieł ezoterycznych realizowanych językiem abstrakcji.

Ukończyła z wyróżnieniem Królewską Akademię Sztuki

jako jedna z pierwszych na Wydziale Malarstwa. Brała czynny udział w życiu artystycznym Sztokholmu, a nawet pełniła funkcję sekretarza Stowarzyszenia Szwedzkich Kobiet Artystek.

Przez pierwszych 20 lat pracy tworzyła portrety i krajobrazy, nie przekraczając zwyczajowych konwencji tamtego czasu. Mało kto wiedział o jej fascynacji światem paranormalnym, mistycznym oraz o udziale w seansach spirytystycznych, w których nierzadko bywała medium. W czasie jednego z nich w 1905 roku miała usłyszeć, że jest wybrana do namalowania duchowej rzeczywistości, niewidocznej w świecie materii. Tak zaczęły powstawać intrygujące kompozycje abstrakcyjne, m.in. cykl „Świątynia” – 193 obrazy, uznawane za najważniejsze w jej twórczości.

W dokumentalnym filmie „Hilma af Klint. Pionierka abstrakcji” zrealizowanym w 2019 roku przez Halinę Dyrschkę członkowie rodziny artystki wspominają, że „była delikatną

osobą o błękitnych oczach, w których można było się przejrzeć. Urocza i nieśmiała”.

Swoją spuściznę zapisała siostrzeńcowi. Do 1964 roku musiał respektować wolę ciotki zakazującej publicznego pokazywania prac, a potem nikt ich nie chciał. W 1970 roku sztokholmskie Moderna Museet odmówiło przyjęcia od niego donacji. Coś się zaczęło zmieniać dopiero w 1984 roku, gdy na konferencji historyków sztuki krajów nordyckich w Helsinkach szwedzki badacz i krytyk Ake Fant przedstawił dorobek artystki. Hilmy zabrakło jeszcze w 2012 roku w nowojorskiej MoM-ie na okazanej wystawie „Wykrywanie abstrakcji” poświęconej pionierom owego kierunku.

Dokument Haliny Dyrszki można obejrzeć w środę w warszawskim kinie Luna o godz. 19. A nieobecność i fenomen szwedzkiej artystki będzie też tematem debaty z udziałem artystek i krytyczek „Dlaczego wciąż pytamy, gdzie są wielkie artystki?”, która odbędzie się po projekcji. /©©

W SKRÓCIE

KONCERT

■ Charytatywna gala „My z Wami!” odbędzie się w czwartek, 14 kwietnia, w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Całkowity dochód ze sprzedaży biletów zostanie przekazany na rzecz dzieci z Ukrainy. Pierwszą część wieczoru wypełnią utwory współczesnych kompozytorów ukraińskich: Lubawy Sydenko, Zoltana Almashiego i Aleksandra Shymko w wykonaniu znakomitych śpiewaczek Olgi Pasiecznik, Agaty Zubeł oraz chóru i orkiestry Opery Narodowej pod dyrekcją Andrija Yurkevicha. Będą to m.in. kompozycje powstałe do tekstów Haliny Poświatowskiej i Czesława Miłosza. Na drugą część wieczoru soliści i zespół Polskiego Baletu Narodowego przygotowali kolaż złożony z fragmentów swoich spektakli, dotyczących tematu wojny, zagrożenia, ucieczki („Kurt Weil”, sekwencja powstańcza z „I przejdą deszcze...” Krzysztofa Pastora, „Exodus” Anny Hop). Wszyscy artyści biorący udział w przygotowaniu gali – w tym autor specjalnego plakatu Andrzej Pągowski – zrzekli się honorariów. —jm

POŻEGNANIE

■ Jacek „Budyń” Szymkiewicz nie żyje. O jego śmierci poinformowała żona: „Chciałabym móc napisać, że to żart, że to nasze wygłupy”. Był jedną z najbarwniejszych postaci polskiej sceny, wnosząc taką wielobarwność i muzyczne poczucie humoru, które można było odnieść do Franka Zappya. Dał się poznać jako muzyk Pogodno, ale pisał piosenki dla Katarzyny Nosowskiej, Brodki, Reni Jusis, Natalii Nykiel, Varius Manx. Grał na wielu instrumentach, komponował, tworzył muzykę do spektakli teatralnych i filmów. Na początku 2012 w duecie z Bajzlem (od 2010 także muzykiem Pogodno) powołali do życia zespół Babu Król, który zadebiutował albumem zawierającym muzyczne aranżacje wierszy Edwarda Stachury. Dzień przed śmiercią artysta ogłosił, że założył nowy zespół – Monofon, z m.in. muzykami grupy Lao Che. „Już niebawem będziecie mogli usłyszeć pierwszy singiel z naszej debiutanckiej płyty” – pisali muzycy na Facebooku. W Szczecinie Szymkiewicz miał wystąpić z grupą Chango na otwarciu festiwalu teatralnego Kontrapunkt. —j.c.